



WYDAWNICTWO TOW. IM. PIOTRA SKARCI. — NR. 6.

---

MORALNOŚĆ  
**NAUKOWA.**

Napisał  
TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

LWÓW — 1911.

Cena  
20 gr.

John W. Taylor  
10216  
Smith Blvd, Ch 46614

ADW3930

**Teodor Jeske-Choiński.**



# **MORALNOŚĆ NAUKOWA.**



WE LWOWIE.

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA IMIENIA PIOTRA SKARGI.

1911.

Deacidified

Zachciało się pozytywistom i ewolucjonistom stworzyć własną t. zw. niezawisłą, świecką, naukową etykę, któraby zastąpiła moralność, obowiązującą chrześcijańskie społeczeństwa przed wynalazkami mądrości pozytywistyczno-ewolucyjnej. Bo panowie ci zrozumieli, iż ani człowiek ani narody nie mogą istnieć bez jakichś wyrażanych wskazówek etycznych.

We Francji rozpoczął eksperyment w tym kierunku Emil Littré.

Źródłem wszelkiej moralności są, według niego, dwa uczucia, dopełniające się nawzajem, konieczne do istnienia każdej „substancji żyjącej“ (*substance vivante*), mianowicie: egoizm i altruizm. Pierwszy służy do utrzymania jednostki — drugi zachowuje „gatunek“. Egoizm, czyli instynkt samozachowawczy uczy człowieka, że aby żyć, trzeba jeść i pić, altruizm wszczepia zaś w niego miłość do drugiej płci. Egoizm, rozwijając się i różniczkując, rozpada się z czasem na szereg podegoizmów, jak: miłość zdrowia, dobrobytu, władzy, sławy i t. d., altruizm, przechodząc także przez czyszczący ogień ewolucyi, szlachetnieje, rozszerza się, przenosi się z żony na dziecko i rodzinę, w dalszym ciągu ogarnia okolicę, prowincję, kraj, w końcu ludzkość całą.

Mimo tak logicznie na pozór rozsnutego pochodu uczuć moralnych, począwszy od pierwot-

nego egoizmu zwierzęcia żerującego, aż do poświęcenia bohatera i męczennika, nie zdawała się Littrè'mu budowa jego etyki dosyć spoistą. Chociaż wmawiał w siebie i w innych, że altruizm jest tak samo właściwością wszelkiej „substancyi żyjącej“, jak egoizm, nie bardzo chyba sam w swoją hipotezę wierzył, dodał bowiem do owych dwóch podwalin jeszcze trzecią.

Ponieważ mu filozoficzne wyjaśnienie uczuć altruistycznych nie wystarczało, a nie chciał i nie mógł, jako pozytywista, wrócić do idei wrodzonych, przeto skomponował sobie jakieś uczucia wyższego rzędu, które nazwał *des sentiments désinteressés*, a doszedł do nich za pomocą najczystszej spekulacyi (filozoficznej), aczkolwiek pozytywizm ową „igraszkę słów“ raz na zawsze z królestwa wiedzy wykluczył. Te „uczucia bezinteresowne“ mają człowieka uczyć miłości prawdy, dobra i sprawiedliwości, a rodzą się z intuicyi (*intuition irréductible, fait intuitif*), doprowadzone do świadomości przez logikę.

Ani się Littrè spostrzegł, jak, dopełniając części fizyologicznej swojej etyki, znalazł się w samym środku metafizyki. Pomiarkowawszy się, że zboczył z gościńca pozytywnego, starał się dociągnąć „uczucia bezinteresowne“ do fizjologii, ale brnął już tylko coraz dalej między chwasty czezej kazuistyki, nie przekonywającej nikogo.

Ojczyzną etyki naukowej jest Anglia, gdzie już przed Herbertem Spencerem, „naszym wielkim filozofem“, jak go Darwin nazywał, próbował rzucić jej podwaliny H. Sidgwick w swoich „Metodach Moralności“.

Właściwemu twórcy tego eksperymentu, Herbertowi Spencerowi, było tak spieszo zasta-

pić dotychczasową etykę „moralnością naukową, świecką, pozytywną, niezawistą, ewolucyjną”, lub, jak ją tam inaczej zowią, że przerwał plan swych prac, zabierając się do wykreślenia zasad etycznych daleko wcześniej, aniżeli pierwotnie zamierzał. Zwrócono bowiem jego uwagę na okoliczność, że „jeżeli nie życie, to zdrowie opuścić go może, zanimby zdołał wykonać ostatnią część zadania, jakie sobie postawił”.

Dziś, gdy nakazy moralne, — mówi on w przedmowie do swych „Zasad etyki” — zaczynają tracić powagę, którą posiadały na mocy mniemanej świętości pochodzenia, stało się uczynienie moralności świecką niezbędnem. Niema bowiem nic zgubniejszego nad upadek i zamieranie systemu regulującego, który okazał się nadal nieprzydatnym, przed ukazaniem się innego”.

Jakaż różnica zachodzi między etyką „dawniejszą” a t. zw. naukową, świecką? Pierwsza wierzy w niezmiennie, powszechne, odwieczne prawa moralne, wszczepione w ludzkość przez potęgę wyższą. Druga zaś opiera swą budowę na t. zw. „pewnych zjawiskach naturalnego poznania, na rozumie i doświadczeniu”, a wyklucza wszelki początek nadprzyrodzony.

Etyka należy do tych nauk, których się krytycyzm najpóźniej dotknął. Pierwsi filozofowie greccy, należący do szkoły jońskiej, nie zajmowali się prawie wcale moralnością, a i eleaci przeszli obok niej, nie zastanawiając się nad nią dłużej. Tales, Anaksimander, Anaksimenes, Diogenes apoloński, Pytagoras, Ksenofanes, Parmenides, Zenon, nawet Heraklit, Demokryt i Anaksagoras nie zrobili nic dla etyki.

Słabe ślady usiłowań w tym kierunku spostrzegamy dopiero u sofistów, lecz początki to grube, pierwotne, bo mianujące się fizyczną źródłem praw moralnych. Nieco szlachetniej w tym względzie zapatrywali się Platon i Arystoteles, z których drugi uznawał „niezmienne prawa moralne natury“, lecz o rozwoju zasad etycznych w rozumieniu dzisiejszem nie mieli i oni żadnego wyobrażenia.

Cynicy, stoicy, cyrenaicy i epikurejczycy starali się utworzyć jakiś rodzaj higieny moralnej, snując dalej nic, nawiązaną przez ich poprzedników. Luźne ich uwagi i spostrzeżenia mają w historii etyki o tyle wartość, o ile w nich można odnaleźć źródło współczesnego utylitaryzmu.

Filozofowie rzymscy żywili się, jak wiadomo, spuścizną mistrzów greckich, przeżuwać cierpliwie ich teorye. I tak, był Seneka głównie uczniem stoików, a Lukrecyusz wielbicielem Epikura. I Cyceron, choć napisał kilka rozpraw treści moralnej, nie wymyślił nic nowego.

Kilkanaście wieków powstającego, rozwijającego się i królującego w końcu wszechwładnie Chrześcijaństwa, ginie oczywiście zupełnie dla t. zw. nauki „niezawisłej“. Podnosi ona buntowniczą głowę dopiero z początkiem XVI. a właściwie XVII. stulecia. Już w dziełach Machiavella i Montagne'a spotyka się pojęcia, przypominające poglądy etyczne materyalistów i pozytywistów XIX. w I. statysta włoski i sceptyk francuski biją czołem przed samolubstwem, jako przed jedyną pobudką czynności ludzkich. Są to jednak dopiero „wrażenia“, nieujęte jeszcze w ramy systematu.



Jak w wielu innych razach, należy się i w historii etyki naukowej zaszczyt początkodawcy Locke'emu. Wystąpiwszy przeciwko ideom wrodzonym, zrobił myśliciel angielski przełom w filozofii w ogóle i stworzył nowy kierunek, który znalazł licznych zwolenników i pogłębiających. Śladami jego poszli wszyscy racjonalisci, materyjaliści i pozytywiści. Rozrywali oni dawny porządek z wielką skwapliwością i nie oprzytomnieli nawet po pierwszej rewolucyi francuskiej. Encyklopedyści zburzyli do reszty moralność Chrześcijaństwa, lecz nowej nie umieli postawić. Pracy tej podjęli się pozytywiści XIX. wieku, głównie zaś Herbert Spencer, któremu August Comte wskazał drogę, zastosowawszy w swej „Socyjalnej dynamice” teorię ewolucyjną. Idea rozwoju jest cementem, który spoił różne, dawniejsze poglądy „wrzekomo etyczne”. Jej to zawdzięczamy „moralność niezawistą”, mającą zastąpić dotychczasowe zasady prawego postępowania.

Za podstawę krytycznego rozbioru etyki „świeckiej” należy przyjąć „Dane moralne” Herberta Spencera, dzieło to bowiem jest ostatnim wyrazem wszystkiego, co dotąd w tym kierunku wypowiedziała „nauka niezawista” XIX. stulecia. Naczelnik pozytywistów angielskich uczy rozumu nietylko t. zw. czystych intuicyonistów, którzy utrzymują, że człowiek rodzi się z poczuciem moralnym i ze zdolnością wykonywania uczynków etycznych, lecz poprawia nawet swych kolegów z obozu utylitarnego. (Jeremiasz Bentham, John Stuart Mill i t. d.), gdyż i oni „uwzględniają za mało ostateczne związki przyczynowe.

Poglądy etyczne Spencera znalazły bardzo szybko wielu gorliwych zwolenników i krzewicieli. We Francji walczył pod ich sztandarem Alfred Fouillée i sławę ich głosił w parlamencie Juliusz Ferry; we Włoszech popularyzował mistrza angielskiego głównie Ardigo, w Niemczech B. Carner i inni, porównywający Spencera z Arystotelesem; w Polsce stroi się w błyskotliwe strzępy „moralności niezależnej“ mnóstwo postępowców, wychowanych na pozytywizmie nadsekwańskim.

Spencer rozpoczął swe obszerne studyum od postępowania w ogóle<sup>1)</sup>.

Jest pewnikiem — mówi on — iż rzeczy współrzędne warunkują się wzajemnie, iż żadne pojęcie o całości nie może się utworzyć bez budzącego się wyobrażenia o częściach ją składających i odwrotnie. Niedokładna znajomość jednej pociąga za sobą z rozmaitych względów niedostateczne poznanie drugiej. O zasadzie tej trzeba pamiętać głównie wtedy, kiedy całość jest organiczną, gdy należyte zrozumienie części wymaga zupełnego ogarnięcia całości. Pewnik ten stosuje się nietylko do agregatów cielesnych, ale i do niecielesnych, do złożonych ruchów i czynności, do słów i myśli.

Postępowanie jest całością, zlepioną z czynności, zależnych od siebie wzajemnie, a dokonywanych przez pewien organizm. Ta zaś strona postępowania, którą się etyka zajmuje, jest częścią owej całości organicznej. Ma się rozumieć,

---

<sup>1)</sup> W pracy niniejszej posługiwałem się przekładem „Etyki“ Spencera, dokonany przez Jana Karłowicza, Warszawa 1884; nakładem Spółki nakładowej. (Przyp. aut.).

że moralistę nie obchodzi szczegółowo postępowanie wogóle, lecz tylko to, które obejmuje wszelkie celowanie, czyli stosowanie czynów do celów, od najprostszego do najbardziej złożonego, jakiejkolwiekby ono było natury. Ponieważ jednak i tej części wielkiej całości nie pojmujemy dostatecznie, dopóki będziemy się zastanawiali jedynie nad postępowaniem obecnem, przeto należy posłużyć się i w badaniach etycznych wynikami teorii ewolucyjnej. Rozważanie rozwoju postępowania powinno być pierwszą działalnością każdego umiejętnie pracującego moralisty.

Jeżeli bowiem cały świat widomy powstał z rozwoju, jeżeli system słoneczny, jako całość, ziemia, jako część jego, życie wogóle, jak i tylko jest na ziemi, oraz życie każdej istoty, — jeżeli zjawiska duchowe, dostrzegane u wszystkich jestestw, oraz także objawy u skupień tych jestestw — jeżeli jednostka i całość ulega prawom rozwoju, — to wynika stąd koniecznie, że i zjawiska postępowania jestestw najwyższych, stanowiące przedmiot etyki, muszą podlegać ogólnym prawom.

Rozwój organizmów w szeregu doskonalących się istot zwierzęcych stoi oczywiście poza obrębem etyki. W zakres jej wchodzi wszelkie czynności łączne, zewnętrzne, wykonywane przez ludzi i przez jestestwa niższe, mniej lub więcej rozwinięte.

Rzuciwszy kilka uwag wstępnych, przechodzi Spencer do określenia i ustalenia pojęć o dobrem i złem postępowaniu.

Pospolicie nazywamy pewne przedmioty dobremi lub złemi o tyle, o ile mniej lub więcej odpowiadają swemu przeznaczeniu. Dobrem jest

pióro, które pisze łatwo, zadzierające zaś papier zowie się złem i t. d. To samo odnosi się i do czynności nieżywotnych, w końcu do żyjących. I to pod względem etycznym nazywamy coś dobrem i złem, odpowiednio do skuteczności lub nieskuteczności celowania.

Trzy rodzaje celowania rozpatruje Spencer, aby udowodnić prawdy powyższego twierdzenia, pierwszy, dążący ku samozachowaniu, drugi, mający na względzie hodowanie potomstwa, trzeci, obejmujący fakie czyny, za których pomocą człowiek styka się z bliźnimi. Najgłówniejszą kategorią jest ostatnia, bo ona dopiero określa wszechstronnie znaczenie dobrego i złego postępowania w rozumowaniu etycznym. Na drodze bowiem do utrzymania własnego życia i wyhodowania potomstwa, celowanie jednostki tak łatwo staje w sprzeczności z potrzebami bliźnich, że wytwarza się konieczność ciągłych ograniczeń popędów samolubnych. W skutek tego łączą się wyrazy dobry i zły szczególnie z takimi czynami, które służą, lub szkodzą pełni życia całego społeczeństwa. I w tym więc razie nazywa filozof angielski postęпки złymi lub dobrymi, stosownie do dobrego lub złego ich celowania, a jeżeli zachodzą jakie sprzeczności w użyciu tych wyrazów, to źródłem ich bywa sprzeczność w celach.

Zastanawiając się w dalszym ciągu nad różnymi definicyjami dobrego i złego, dochodzi Spencer do tego przekonania, że dobro wogóle jest tem, co sprawia przyjemność, choć „prawdę tę skrzywiły rozmaite wpływy moralne, teologiczne i polityczne, działające, jak wiadomo bardzo silnie na umysły ludzkie“.

Że dawniejsi moralisci błędzili po manowcach różnych dowolnych przypuszczeń, nie wytrzymujących krytyki, pochodzi z zaniedbania ostatecznych związków przyczynowych. Dotychczasowi etycy uznawali wprawdzie przyrodzone skutki postępów, lecz czynili to tylko przygodnie, nie wiążąc ich w system poznawania koniecznych stosunków między przyczynami i następstwami i nie wywodząc praw postępowania ze sformułowanego ich ustalenia. Tymczasem powinna każda umiejętność rozpocząć swoją czynność od gromadzenia spostrzeżeń i od natychmiastowego ich uogólniania na drodze empirycznej. Naprzód trzeba zbierać fakty, potem wnioski z nich płynące, a dopiero na samym końcu tłumaczyć je dedukcyjnie. Tak postąpiła sobie astronomia i dlatego stała się rzeczywiście nauką, tak samo pracują obecnie geolodzy, psychologowie, socjologowie i t. d. Jedyni moralisci upierali się do czasów najnowszych przy zużytej już metodzie.

Z czterech stron trzeba się zabrać do etyki. Ma ona nasamprzód część fizyczną, bo zajmuje się działalnością człowieka, która ulega, jak wszelki objaw siły, prawu stateczności energii, powtóre część biologiczną, gdyż rozważa pewne wewnętrzne i zewnętrzne, jednostkowe i społeczne skutki zmian życiowych, zachodzących w najwyższym okazyje jestestw żywych, po trzecie część psychologiczną, która rozbiera postępy, spowodowane uczuciami, a kierowane umysłem, nareszcie część socjologiczną, o ile te uczynki dotyczą istot uspołecznionych. Z powyższego powodu znajduje etyka ostateczne wyjaśnienie tylko w prawdach zasadniczych, wspólnych: w fizyce, biologii, w psychologii i socjologii.

Konieczność posłużenia się fizyką opiera Spencer na tej zasadzie, że postępowanie, o ile się je poznaje przez doświadczenie, składa się ze zmian, podpadających pod dotykanie, widzenie i słyszenie. Pomijanie tej strony przez dawniejszych moralistów spowodował nałóg przebiegania myślą od spostrzeganych uczynków ludzkich do przyczyn, z czego wynikło, że przywykliśmy określać te uczynki orzeczeniami duchowymi, zamiast cielesnemi. Mówimy prawie zawsze o myślach i uczuciach, zapominając o objawach zewnętrznych, ujawniających te myśli i uczucia.

Wiadomo, że gdy pewien agregat zjawisk się rozwija, to nie tylko materya, z której się składa, ale i ruch jej przechodzi z bezspójnej, nieokreślonej jednorodności w spójną, określoną różnorodność. Zachodzi pytanie, czy postępowanie okazuje te znamiona w coraz doskonalszym stopniu, wznosząc się na wyższe szczeble i dosięgając najwyższego, który nazywamy etycznym. Spencer odpowiada na to twierdząco.

I rzeczywiście prawdą jest, że postępowanie istot niższej organizacyi nie odznacza się wcale łącznością pojedynczych działalności. Ruchy bezcelowe, wykonywane przez żyjątko stoją rzadko w związku z poruszeniami, odbytemi przed chwilą, ani też wpływają na następne, ale już ptak n. p. posługuje się całym szeregiem ruchów łącznych, odbywających się w ciągu dość znacznego czasu, człowiek zaś choćby na najniższym znajdujący się stopniu, okazuje daleko spójniejsze kombinacye. Lecz największą łączność części składowych widzimy w takim postępowaniu, które zowiemy moralnem, w porównaniu z niemoralnem. Bo czyny gorszego

rzędu zawierają w sobie działania luźne, podczas kiedy postępowanie lepsze, ulegające zwykle surowemu porządkowi, odznacza się jednością i spójnością. Im się ono bardziej umoralnia, tem ściślejszy dostrzegamy w niem związek czynności poprzednich z następnymi.

To samo odnosi się do określenia ruchów, składających się na postępowanie i do różnorodności, gdyż obiedwie te właściwości doskonalą się na tych samych warunkach, co poprzednia. W miarę bowiem doskonalenia się postaci życia, jako też równocześnie z pomnażaniem się różnorodności w budowie i funkcjach powstaje coraz dokładniejsza określoność i coraz znaczniejsza różnaitość w szeregach ruchów zewnętrznych i w stosunkowaniu tych szeregów.

Zdawałoby się może, iż życie moralne przejawia się właśnie w formach jednostajnych. Tymczasem ma się rzecz zupełnie przeciwnie. Im bowiem kto lepiej spełnia obowiązki tak względem siebie, jak i bliźnich, tem bardziej urozmaiconą staje się jego działalność.

Rozwój postępowania, rozważanego ze stanowiska moralnego, dąży, jak każdy inny, ku równowadze. Wynika stąd, że życie moralne równa się doskonałemu utrzymaniu „ruchomej równowagi”. Prawda ta wyda się najjaśniejszą wtedy, gdy przypatrzymy się, jak owe rytmy fizyologiczne, słabo zarysowane w ustroju niższego rzędu, stają się coraz regularniejszymi i rozmaitszymi w swych przejawach przy wydoskonaleniu się ustrojów.

Sam Spencer domyślił się, że to „przedstawienie postępowania moralnego w terminach fizycznych“ wygląda trochę dziwnie... grzecznie mówiąc. Przeto uważa za potrzebne zapewnić

czytelnika przy końcu rozdziału V-go, zajmującego się ową „stroną fizyczną“ etyki, że istnieje zupełna odpowiedniość między rozwojem moralnym, a określonym w sposób powyższy. Bo, — twierdzi, — jeżeli owe ustosunkowanie materji i ruchu, które stanowi rozwój, odbywa się we wszystkich jestestwach, to prawa jego muszą się ujawniać zarówno w najdoskonalszych, jak i we wszystkich innych istotach, a działalność ich, rozłożona na ruchy, musi prawa te udowodnić.

I w dalszym ciągu swych twierdzeń posługuje się Spencer z szczególnem zamiłowaniem „terminami fizycznymi“. Przechodząc do strony biologicznej etyki, mniema, że: idealnie moralnym człowiekiem jest taki, u którego wszystkie funkcje działają należycie. Ponieważ każda funkcja pozostaje w prostym lub ubocznym związku z potrzebami życia, sam bowiem fakt istnienia, jako wynikły z rozwoju, jest dowodem, że się wytworzyła, bezpośrednio lub pośrednio, ze stosowania się działania wewnętrznego do zewnętrznego, przeto powoduje nieprawidłowość w sprawności jakiegokolwiek funkcji niewypełnienie jednego z warunków zupełnego życia! Wszelka zaś niemoralność zakłóca pożądaną równowagę i oddziałuje szkodliwie na ustrój, z czego wynika że... moralną można nazwać tylko taką jednostkę, której liczne a rozmaite funkcje działają w stopniu, odpowiadającym należycie warunkom istnienia, czyli, że odbywanie wszystkich funkcji jest pod pewnym względem powinnością moralną.

Wyniósłszy w ten sposób proste ruchy zwierzące do znaczenia działalności etycznej, przyznał jednak Spencer, że w obecnej dobie



prześciowej, odznaczającej się bardzo niedokładnym usposobieniem naszego ustroju do warunków otaczających, zmusza nieraz najświętszy obowiązek moralny do postępowania, szkodliwego ze stanowiska fizycznego i biologicznego. Wszakże przemijające to tylko wyjątki, które nie usuwają prawdy naukowej, że niemoralnym jest, kto nie dba o zdrowie i dzielność swego ciała.

Tak więc i fizyka i biologia zgadzają się w swych zapatrywaniach na postępowanie w ogólności ze stanowiska rozwojowego. Co z punktu fizycznego nazwał Spencer równowagą ruchomą, to z biologicznego ochrzcił mianem równowagi funkcyj. Wynikiem tej harmonii jest zastosowanie pewnych funkcyj do pewnych czynności, które utrzymują i stanowią pełnię żywota, do czego znów rozwój postępowania nieustannie dąży. Przechodząc zaś do uczuć, towarzyszących działaniu funkcyj, przekonywa się pozytywizm, że przyjemność jest w rozwoju życia organicznego główną podporą ich normalnej sprawności.

I znów wrócił Spencer do owej przyjemności, którą uważa za podwalinę wszelkich sądów o dobrem i złem, za podstawę moralności naukowej, gdyż, jak niepodobieństwem byłoby utworzyć sobie pojęcie o przedmiocie bez świadomości przestrzeni, tak też niemożliwym jest (według niego) istnienie pojęć etycznych bez znajomości jakiegokolwiek, kiedykolwiek i przez kogokolwiek doświadczanej przyjemności.

Ma się rozumieć, że „termina fizyczne” nie dopisały Spencerowi w tym rozdziale, w którym zastanawia się nad stroną psychologiczną etyki. Jeżeli w poprzednich częściach swego studium nagromadził mnóstwo twierdzeń i wniosków,

które nazywa sam „dziwnymi“, to stracił w tak „niezmiernie zawitym przedmiocie“, jakim jest psychologia, pewność swą zupełnie, choć starał się być jasnym i głębokim.

Przechodząc do sócyologicznej strony etyki musiał pozytywista angielski przekroczyć ciasne granice swego stanowiska. Ponieważ bowiem człowiek jest istotą, żyjącą przeważnie w towarzystwie, przeto nie może oczywiście myśleć tylko o fizycznej równowadze ruchomej i biologicznej, równowadze funkcyj ani nawet o przyjemnościach i przykrościach, wytwarzanych przez uczucia moralne, gdyż równowaga jednostki wywołuje rzadko taki sam stan społeczeństwa. Dlatego, postępując od człowieka przedspołecznego ku uspołecznionemu, musi etyka dodać nowy czynnik do formuły powyższej. A czynnik ten dodatkowy, w zagadnieniu pełnego żywota gra tak ważną rolę, aż z konieczności wynikające zmiany w postępowaniu zajęły główną część w kodeksie życia. Wiadomo, że popędy odziedziczone, mające bezpośredni związek z zachowaniem żywota jednostki, pozostają często w niezgodzie z działalnością innych ludzi, tem więcej że uczucia, uwzględniające prawa bliźnich, są stosunkowo słabe, przeto kodeksy moralne obstrzają powściągliwości w postępowaniu. Z sócyologicznego więc stanowiska jest etyka właściwie tylko wyraźnem określeniem sposobu postępowania, zastosowanego do stanu uspołecznionego, tak, iżby życie każdej jednostki i wszystkich wogóle mogło być najpełniejszym, czyli najdłuższem i najszerszem.

Lecz to podporządkowanie pomyślności osobistej pod społeczną jest, według Spencera, tylko przygodnem, gdy zawisło od obecności

społeczeństw nieprzyjaznych. Dopóki istnienie pewnego ogółu zależy od niebezpiecznego sąsiedztwa drugiego, dopóty musi jednostka poświęcać swe widoki pożytkowi wszystkich. Ograniczenie to jednak przestanie być obowiązkiem moralnym z chwilą ustąpienia niebezpieczeństw. Wspieranie żywota jednostek było i jest ostatecznym celem wszelkiego postępowania, a jeżeli cel ten poddaje się czasem pilniejszemu, to tylko dlatego, że był środkiem do najwyższego.

Po długich więc dowodzeniach, krętymi, choć pozornie prostymi ścieżkami, doszedł Spencer naręszcie tam, skąd powinien był od razu wyjść, mianowicie: do uznania samolubstwa, jako głównego twórcy „niezawisłych“ zasad etycznych. Ograniczył on, jak wszyscy pozytywiści, egoizm prawami altruizmu, lecz to „współczucie rozplywa się ostatecznie zupełnie w pragnieniu zaspokojenia osobistych zachcianek jednostki.

Do zręcznego podobny adwokata, dysputuje nasamprzód krzewiciel „moralności naukowej“, jako egoista przeciw altruście, następnie przemawia w imieniu altruisty przeciw egoizmowi, w końcu przeprowadza kompromis między obydwoma szermierzami i godzi ich.

Egoista twierdzi, że każda istota musi wprzód żyć, zanim zdoła być czynną, z czego wynika, że czynności, służące do podtrzymania życia, muszą przodować ważnością swą przed innymi, do których istota owa jest uzdolnioną. Bo jeżeliby utrzymywano, że inne czynności muszą mieć pierwszeństwo przed życiozachowawczymi jeżeliby wszyscy stosowali się do tej zasady, przyjmąwszy ją za powszechne prawo postępowania, w takim razie ustałoby życie, gdyż stawianoby

pódrzymujące je czynności niżej od tych, które je dopiero umożliwiają.

Z punktu widzenia biologicznego nie ulega wątpliwości, że egoizm idzie przed altruizmem. Samolubstwo nie zadowala się jednak tem ustępstwem, bo mniema, że to samo założenie należy przyjąć także i ze stanowiska etycznego.

Niezdolność jakiegokolwiek będzie rodzaju i stopnia, — odzywa się egoista — pociąga za sobą wprost lub ubocznie niepomyślność; wprost przez cierpienie, wynikające z nadużywania niedostatecznej zdolności a ubocznie, przez zupełne lub częściowe niespełnianie pewnych warunków pomyślności. Odnosi się to nietylko do większej lub mniejszej tępości, albo bystrości zmysłów, lecz także do wyższego lub niższego stopnia roztropności. Nieuniknione to prawo, wedle którego każdy osobnik gatunku nosi na sobie skutki swej własnej natury, przelewając je równocześnie na potomstwo, dąży nieustannie ku zwiększaniu zbiorowej pomyślności gatunku, dopomagając rozmnożeniu się szczęśliwszych, a przeszkadzając wzrostowi mniej szczęśliwych. Dlatego trzeba uznać wniosek, że dążenie do pomyślności osobistej, w granicach wymagań społecznych, jest naczelnym warunkiem do osiągnięcia największej szczęśliwości ogółu. Aby się o tem przekonać, dość porównać człowieka, którego własne szanowanie się utrzymało w dobrym stanie cielesnym, z innym zniszczonym przez lekkomyślne pomijanie potrzeb fizycznych, a potem spytać, jaki to być musi kontrast pomiędzy dwoma społeczeństwami, złożonemi z samych dwojakiego tego rodzaju osobników.

Człowiek powinien być samolubnym w takiej mierze, iżby wszystkie jego wymagania, łą-

czące się z należytem działaniem funkcyi, były zaspokajane. Winien oprócz tego szukać wszelkich przyjemności, których życie dostarcza, okrom bowiem skutków, które one wywierają, podnosząc falę żywota i utrzymując dzielność organizmu, sprawiają i ten jeszcze, że podtrzymują i zwiększają zdolność doznawania przyjemności. Czynić to powinien każdy „osobnik moralny“ ze względu na potomstwo, w którym bezbarwne i niedołączone życie rodziców zmniejsza na mocy praw o dziedziczności władzę najlepszego wyzyskiwania przypadających mu przyjemności.

Pamiętać w końcu należy, że przesadne pomijanie osobistych potrzeb wiedzie wprost lub ubocznie do skrajnego samolubstwa. Gdy bowiem źle zrozumiany altruizm wytwarza szkody fizyczne, wówczas objawia się dążność ku liczebnemu zmniejszaniu się altruistów, a przez to ku wzrostowi przewagi egoistów. Posunięte do ostateczności zaparcie się siebie, dla dobra innych, prowadzi nieraz do śmierci małżeństwa przed zwykłym czasem, albo do wyrzeczenia się zamążpójścia, jak to bywa u sióstr miłosierdzia, lub też do niemożności zgromadzenia koniecznych do założenia rodziny środków majątkowych. We wszystkich tych wypadkach przesady, altruista nie pozostawia potomstwa, czyli nie spełnia swego przeznaczenia. Zaniedbanie przeto samego siebie, obniżając prawidłowy poziom sił cielesnych, prowadzi ostatecznie do znacznego nadmiaru samolubstwa.

W ten mniej więcej sposób dowodzi egoizm, że przoduje pod względem ważności przed altruizmem, drugi jednak zapaśnik nie uważa się za

popbitego, bo dysputuje ze swej strony równie wymownie.

Altruizm, nazwany także „współczuciem“, obejmuje, według Spencera, wszystkie czynności, które w normalnym biegu rzeczy przynoszą korzyść innym, zamiast osobie działającej. Pod altruizmem w tem obszernem znaczeniu, podciąga pozytywista angielski czynności, które ochraniają potomstwo i podtrzymują gatunek. Wyłączyć tu należy nietylko czynności, dokonywane ze świadomością, lecz i t. zw. automatyczne, a nawet czysto fizyczne. W tem rozumieniu będzie już samorodne (spontaniczne) rozszczepianie się, czyli dzielenie najprostszyc<sup>h</sup> jestestw pewnym rodzajem altruizmu.

Dotąd mniemano, że altruizm jest świadomem poświęceniem się dla dobra bliźnich. Moralista jednak „niezawisły“, który w swej etyce mówi tylko o samozachowaniu, o utrzymaniu potomstwa i gatunku i o przyjemnościach, uważał za właściwe... rozszerzyć to „ciasne pojęcie“.

Ponieważ jakaś ofiara jest w swej prostej postaci fizycznej niezbędnie potrzebną do utrzymania życia od samego początku, a w dalszym ciągu gatunku w ustrojach wyższego rzędu; ponieważ, rozwijając się w na wpół świadomą i świadomą postać, łączy się z nieustanną i złożoną troskliwością, przez którą potomstwo doskonalszych jestestw dochodzi dojrzałości, — przeto widoczna jest, że altruizm rozwijał się jednocześnie z egoizmem. Ważność tak pojmowanego altruizmu nie jest zaprawdę mniejszą od wykazanej poprzednio siły egoizmu, gdy bowiem z jednej strony wypełnianie normalnych czynności egoistycznych pociąga za sobą osłabienie lub utratę życia, wytwarzając niemożność wy-

konywania czynności altruistycznych, to z drugiej, brak czynności altruistycznych, przyczyniający się do śmierci lub do niedostatecznego rozwinięcia się potomstwa, warunkuje znikanie u przyszłych pokoleń skłonności niedość altruistycznych i zmniejsza tym sposobem egoizm przeciętny,

Jak część biologiczna etyki popiera samodzierncze uroszczenia egoizmu, tak staje socjologia po stronie altruizmu. Ochrona bowiem interesu osobistego każdego człowieka tem jest przeciętnie skuteczniejszą, nietylko im więcej się sama powściąga od bezpośredniego krzywdzenia innych, lecz także, im się jej więcej udaje uszczuplić wzajemne krzywdzenie się bliźnich. Panowanie niezgód pomiędzy otaczającymi przeszkadza czynnościom każdego osobnika w dążeniu do przyjemności. Stąd to korzysta egoistycznie ze wzrostu altruizmu nawet samolub, gdy skłania wszystkich do pomagania w zapobieganiu lub zmniejszaniu uczynków niemoralnych innych ludzi. Tak samo zyskuje i altruista z powściągnięcia zbytniego egoisty. Powszechne bowiem uznanie zasady, że uczciwość jest najlepszą polityką, wynika z doświadczenia, które uczy, że zadowolenie uczuć samolubnych potęguje się w miarę rozumnego ich hamowania. Każdy jest osobiście interesowanym w zapewnieniu uczciwości w stosunkach z bliźnimi, gdyż z nierzetelności wynikają złe następstwa dla niego samego. Wiadomo np., że im bardziej kupcy przekraczają swe zasoby i rzucają cudzą własność w obroty spekulacyjne, tem groźniejszymi bywają owe przewroty handlowe, które sprowadzają klęski na miliony ludzi.

Przesadny zresztą egoista, poświęcający całą energię sprawom prywatnym, usuwający się zupełnie od działalności publicznej, pyszniący się mądrością swoją w załatwianiu interesów osobistych, zapomina, że jego własny dobrobyt o tyle tylko może się prawidłowo rozwijać, o ile utrzymuje się zdrowy stan społeczny.

Czynności w końcu altruistyczne, oprócz popierania ogólnej pomyślności, prowadzą do przyjemności egoistycznych, wytwarzając... wesołe otoczenie. Każdy bowiem przestaje chętniej z ludźmi szczęśliwymi, aniżeli z upośledzonymi w jakikolwiek sposób.

Na tem „wesołem“ spostrzeżeniu kończy altruizm obronę swych praw. Twierdzi on, że jego rodowód jest równie starodawny, jak genealogia egoizmu. Idzie teraz o to, który z dwóch zapaśników ma rację, gdyż spór ich zakrawa na walkę wieczystą. Spencer omija zřęcznie tę słabą stronę etyki „niezawistej“, godząc po przeprowadzonym kompromisie altruizm z egoizmem a czyni to w sposób następujący:

Najpierwotniejszy nawet egoizm nie jest pozbawionym pierwiastków altruistycznych i odwrotnie. Ofiarę rodziców, ponoszoną na korzyść dzieci, równoważy przyjemność, wynikająca z zaspokojenia instynktów rodzicielskich. Ponieważ miłość, która jest sama przez się rozkoszą, pobudza więcej do troskliwości o potomstwo, aniżeli obowiązek, przeto można śmiało twierdzić, że zapewnienie szczęścia dzieciom zespala się ze szczęściem samych rodziców. Trudy te zresztą zmniejszą się w przyszłej dobie rozwoju, która wraz z wyższym ustrojem ludzkim, polegającym na znacznie większym wykształceniu umysłowym, przyniesie zmniejszenie płodności.



Wprawdzie altruizm społeczny, jako nie posiadający pewnych żywiołów rodzicielskich, nie dosięgnie nigdy równej z nim wysokości, mimo to wolno jednak przewidywać, że stanie się podobnym do drugiego w stanie instyktowości, to jest, że do takiej dojdzie miary, iż troska o cudze szczęście stanie się codzienną potrzebą, iż niższe przyjemności egoistyczne zajmą podrzędną rolę wobec tych wyższych i to nie wskutek pewnego wysilenia, lecz przez upodobanie w subtelniejszych zadowoleniach egoistycznych.

Czynności, wynikające z uczuć względem bliźnich, zaliczać należy do takich, których wymagają warunki społeczne. Z praw żywota wolno wnioskować, że nieustający wpływ szkoły społecznej tak urobi naturę ludzką, że ludzie będą z czasem szukali przyjemności altruistycznych dla nich samych i to w stopniu najkorzystniejszym dla każdego i dla wszystkich.

Zanim nastąpi ten stan błogostawiony, pozostają dla altruizmu trzy drogi:

1) W sprawie wychowywania dzieci musi altruizm pozostać na zawsze dozorcą egoizmu. Jakkolwiek bowiem konieczność ta ustępować będzie w miarę zmniejszania się ilości potomstwa, z drugiej jednak strony rosnąć znów musi wskutek wzmocnienia staranności i przedłużenia zachodów wychowawczych. Pociąga tylko ta okoliczność za sobą to, że czynności altruistyczne, podjęte w tym kierunku, godzą się w pewnej części z samolubnymi przyjemnościami rodzicielstwa.

2) Dążenie ku dobru społecznemu powinno zostać i nadal polem dla poświęcenia widoków własnych na rzecz altruistycznych, lecz w zakresie coraz mniejszym, ponieważ w miarę po-

stępu przystosowania się do stanu społecznego mniejszą staje się potrzeba tych czynności regulujących, które przyczyniają się do zgodności w życiu społecznem.

3) W stosunkach prywatnych sposobności do pobudzanych współczuciem ofiar nastęrczać się będą musiały zawsze w pewnym, z czasem dość małym stopniu, w razach przypadków, chorób i nieszczęść wogóle. Jakkolwiek bowiem blizkie zupełności stać się może przystosowanie natury ludzkiej do warunków istnienia, tak fizycznych jak społecznych, nigdy jednak nie stanie się zupełnem.

Chociaż w biegu życia powszedniego niezwykłe poświęcenia na rzecz innych muszą stać się bardzo rzadkimi, to stosunki codzienne nie przestaną nasuwać mnóstwa drobnych sposobności dla czynów miłości bliźniego. Każdy będzie mógł i nadal przyczyniać się do dobra ogółu, zabezpieczając bliźnich od nieszczęść, których oni nie mogą przewidzieć i dopomagając ich działalności sposobami im nieznanymi; albo też, odwrotnie rzecz biorąc, każdy będzie mógł liczyć na to „pomocnicze oko i ucho“ u bliźnich, które dostrzegą za niego to, czego on sam nie dostrzeże, przez co życie jego doskonalić się będzie nawet w wielu mało ważnych szczegółach, uzupełniając przystosowywanie się żywota do czynności otaczających.

W ostatecznej swej postaci przeto, altruizm będzie osiągnięciem rozkoszy przez współczuwanie tych przyjemności bliźnich, które wynikają głównie z ich przeróżnych a pomyślnie dokonywanych czynności — rozkoszy współczuciowej, która doświadczającego jej nie nie kosztuje, a jest bezpłatnym dodatkiem do jego

przyjemności egoistycznych. Najwyższy bowiem altruizm na tem się zasadza, że dopomaga nie tylko egoistycznym przyjemnościom bliźnich, ale i altruistycznym.

Dopóki nie nastąpi ten upragniony przez Spencera idealny (z jego stanowiska) stan ludzkości, nie może być mowy o czynnościach względnie etycznych, któreby pomnażały życie wszechstronne i negowały wprost wszelką przykrość, czyli nie sprawiały żadnej nieprzyjemności. Mówić tylko dziś można o postępowaniu względnie moralnem.

Rozebrawszy powyższy szkic „Zasad Etyki“ Spencera z żargonu pozytywno-filozoficznego i wycisnąwszy ze sporego tomu, zapełnionego mnóstwem wywodów rozwlekłych, nużących, powtarzających się ciągle i nie zawsze jasnych treść istotną, będzie moralność naukowa wyglądała jak następuje:

Cokolwiekbądź pisano dotąd w kierunku etycznym, nie wytrzymuje krytyki nowszych czasów. Wyrok ten odnosi się nietylko do moralności religijnej i intuicyjnej, lecz także do utylitarnej. Pierwszy Spencer odkrył tajemnicę prawego postępowania; jest on Kopernikiem etycznym, twórcą jedynie nieomylnego systematu. Co przed nim myślano, tworzone, marzone, nie zasługuje na trwalszą pamięć.

Na czem polega jego wiekopomny wynalazek? Oto na ściśłem zastosowaniu teorii ewolucyjnej do badań etycznych.

Wszystko, co jest, jest dziełem nieświadomie działającego mechanizmu rozwojowego. Nieistnienie Boga, duszy w „dawnym“ rozumieniu, idei wrodzonych, wolnej woli i t. d. rozumie się samo przez się. O takich elementarnych

prawdach wiedzy nowoczesnej nie mówi nawet wielki mędrzec Albionu.

I człowiek jest tylko owocem tego procesu mechanicznego z całym aparatem swych: czynności, potrzeb, zachcianek i wierzeń. Postępowanie jego, bez względu na jakość, podlega prawom tego procesu, i dlatego powinna także etyka oprzeć się na ewolucyi, aby za jej pomocą wyjaśnić wszelkie zjawiska moralne. Jej pomocnicami są: fizyka, biologia, psychologia i socyologia, gdyż one to zamykają w sobie zasadniczne wytyczne ewolucyi.

Fizyka, zastanawiająca się nad kombinacją materji i ruchu, twierdzi ostatecznie, że niema człowieka moralnego bez względu na doskonałość t. zw. równowagi ruchomej.

Według biologii jest moralnym taki osobnik, którego funkcje przystosowują się należycie do warunków istnienia.

Psychologia zaś wyświeśla powstawanie i systematyczny rozwój t. zw. samodozoru i świadomości obowiązku.

Socyologia w końcu wykazuje, w jaki sposób wytwarzały się konieczne ograniczenia postępowania samolubnego na korzyść innych. Jest ona rzecznikiem altruizmu praktycznego.

Cóż jest, według Spencera, dobrem, a co złem? Moralnie dobrem nazywa się takie postępowanie, które pomnaża wszechstronnie życie jednostki i jej bliźnich. Ponieważ zaś popieranie życia rodzi większą sumę przyjemności, przeto dobrem wogóle jest takie postępowanie, które sprawia przyjemność.

A cóż pobudza człowieka do wszelkiej działalności? Oczywiście, że w pierwszym rzędzie egoizm, któryby zupełnie wystarczył, gdyby je-

dnostka nie potrzebowała liczyć się z drugim, trzecim, setnym, tysięcznym i t. d. osobnikiem. W życiu społecznym musi altruizm hamować jednostronne popędy samolubstwa. Jednak chwilowe to tylko, przejściowe ścieśnienie praw egoizmu, wynikające z niedostatecznego przystosowania się człowieka do jego otoczenia. Gdy nieprawidłowość ta minie, osłabnie także tyrania altruizmu, który zresztą można nagiąć do tego, aby nie sprawiał przykrości.

Rozkosz bowiem, rozkosz byle najobfitsza, oto główne, jedyne hasło moralności „niezawistej“.

Sam Spencer wątpi, czy jego „etyka znajdzie jakiegokolwiek uznanie, gdyż nie zgadza się ona ani z uczuciami, ani z pojęciami pospolitemi“.

Cheiałże inaczej, mógłże spodziewać się innego przyjęcia? Wymyślił moralność dla drapieżnych zwierząt, zamkniętych w klatce przez pogromcę, któremu na imię: społeczeństwo! moralność dla sybarytów, filistrów, episierów, moralność „indystryjną“, a pragnąłby powszechnego jej zastosowania?

Dotychczasowi moralisci szukali prawideł etycznych w duszy i sercu człowieka, uwzględniając przedewszystkiem uczynki wolnej woli. Wewnętrzna wartość jednostki była jej główną miarą. Mniemano, że najwięcej upośledzona istota jest w krainie etyki równouprawnioną z najsilniejszą, że niema nędzarza, któryby nie mógł być szlachetnym, podniosłym... moralnym, choćby jego „łączone czynności zewnętrzne“ były jak najwadliwsze, bo najlepsze postępowanie fizyologiczne, że się tak wyrazimy, najpomyślniejsze kombinacye organów czucia i myśli, nie wpływają zupełnie na taki lub inny stan etyczny.

Ale Spencer orzekł: wszyscy poprzednicy moi mylili się! i wnet znalazła się gromada wielbicieli, którzy zawtórowali, do bezmyślnego podobni echa: tak jest, mylili się! Bo etyka a troska o pomnażanie życia, to jedno i to samo.

Policzek to, wymierzony całej idealnej przeszłości rodu ludzkiego, Zwierzęciem jesteś, marny śmiertelniku, niczem, okrom zwierzęciem, żerującym, płodzącem i wychowującym potomstwo, umierającym w końcu, a zachciewa się tobie jakichś postannictw, wyższych celów, a męczysz się lub odurzasz jakimiś tęsknotami, marzeniami, pragnieniami, zamiast przemyśliwać nad tem, jakby dni doczesne jak najwięcej przedłużyć i najprzyjemniejszemi uczynić.

A na czemże opiera Herbert Spencer tę swoją „fizyologiczną“ moralność! Jestże teoria ewolucyjna podstawą tak pewną, niewzruszoną, że może na niej spocząć gmach tak potężny i ważny jak etyka?

Wiadomo, że Spencer rozciąga prawo rozwoju na całą przyrodę, organiczną i nieorganiczną, nie wyłączając z niej oczywiście człowieka. Wszystkie zjawiska widzialne są tylko wypadkowemi tego wielkiego procesu, który miesza martwe atomy, niby aptekarz, posługując się przy tej operacyi siłami chemicznemi i mechanicznemi. Świata nie stworzył nikt, nie ma stałości rodzajów, ani niezmienności organów. Wszystko doskonalsze rozwinęło się z mniej doskonałego, aż wybijało w człowieka, który jest arcydziełem natury.

A dlaczego nie stworzył nikt świata lub pojedynczych rodzajów? Bo, odpowiada Spencer w swej „Biologii“, stworzenie materji jest aktem niemożliwym do pojęcia — nikt nie widział

nigdy stwarzania rodzaju — nikt nie zdołał nigdy wynaleźć pośredniego dowodu na stworzenie jakiegoś rodzaju itd.

Dziwne, że ludzie „naukowi” zadowalają się tak błahymi „dowodami”. A możeż umysł ludzki pojąć odwieczność materji? Daleko chyba trudniej wyobrazić sobie za pomocą środków zmysłowych taki „pewnik”, niż powstanie materji za przyczyną Boga. A któż widział kiedykolwiek rozwijanie się jednego rodzaju z drugiego, n. p. zająca z lisa, kto przytrzymał na gorącym uczynku wykłuwanie się człowieka ze zwierzęcia?

O udowodnienie ostatniego procesu starano się niedawno bardzo usilnie. Zwolennicy teoryi rozwoju prawili o powolnem, nieprzerwanem stopniowaniu, a oczywistość wykazywała mimo różnych zapewnień przerażające przedziały. Widoczna głównie przepaść oddzielała zawsze człowieka od najdoskonalszych okazów z królestwa zwierzęcego.

Z niestęchaną zapalczywością szukano śladów tych form pośrednich. Stukano do bram paleontologii, historyi i etnografii, radowano się każdą odkrytą gdzieś czaszką kopalnego typu, wydobywano na wierzech obyczaje i zwyczaje najdziwniejszych ludów, szukano owego „ogniwa przejściowego” w Ameryce, Australii i — Azji, ale wszystkie zabiegi spełzły na niczem. „Nie znaleziono nigdy i nigdzie, skarży się Virchow, jakiegokolwiek kopalnej czaszki małpiej, albo małpoludzkiej, która mogłaby należeć do człowieka. Wszelki przyrost w tym kierunku oddał nas coraz więcej od postronnego zagadnienia”. Na całej kuli ziemskiej nie ma ani jednego plemienia, któreby obywatło się bez ognia i sztucznej

broni, bez uczuć i wyobrażeń religijnych, choćby się one w najgrubszej przedstawiały postaci.

Nie zaprzeczy dziś już nikt, że człowiek podlega tak samo, jak natura nieorganiczna, działaniu sił fizycznych i chemicznych, wpływowi ciężenia, gorąca i zimna, że odżywia się, wyrasta i rozmnaża, jak rośliny, a pożąda i poznaje zmysłowo jak zwierzę, lecz ponad całym tym jego aparatem mechaniczno-chemiczno-fizycznym wznosi się dusza, którą tylko on posiada. Trzeba być bardzo „wierzącym“ pozytywistą, aby chcieć wytłómaczyć myśl lub akt woli zapomocą mieszania się i grupowania atomów.

Systematyczny postęp, ciągłe rozwijanie się czynności wyższych z niższych jest główną zasadą teorii ewolucyjnej. Szczególna jednak rzecz, że doskonali się właściwie tylko człowiek i to duchowo, gdyż pod względem fizycznym zostaje i on niezmiennym. Prawidłem świata zwierzęcego jest wieczna jednostajność. Choćbyśmy sięgnęli jak najdalej do historii, nie dowiemy się, że: bocian, lis, wrona, kruk itd. wyglądali inaczej, jak ich dzisiejsze potomstwo. Między zwierzętami nie ma widocznego rozwoju w granicach tego samego gatunku; jedyny człowiek kształci się, postępuje.

Jeżeli człowiek ma być koroną stworzenia w rozumieniu pozytywistów, jeżeli jest istotą „najwyżej rozwiniętą“, to powinien w myśl logiki spencerowskiej posiadać od urodzenia, na mocy praw o dziedziczności, najlepsze środki do przystosowania się do warunków życia, do jego utrzymania i pomnożenia. Tymczasem przychodzi właśnie on na świat bezbronny, nagi, słaby i niedołączy. Jakże pogodzić ten niezbitý pewnik z teorią stopniowego przystosowywania się?



Rozwój ma na celu pomnożenie życia, twierdzi Spencer. Wynika stąd, że najobfitszą pełnią życia powinien cieszyć się człowiek, gdyż stoi na najwyższym szczeblu drabiny jestestw organicznych. Ale niektóre zwierzęta jak słonie, karpie i t. d. żyją znacznie dłużej od nas, a jeszcze dłużej mnóstwo roślin, jak: cedry, dęby i t. d. Co więcej, wiadomem jest, że właśnie w tych epokach narodów, w których ludzie wcielają zasady moralności „niezawisłej“, zmniejsza się ogólna suma życia. Czasy przemysłowe, które są ideałem Spencera, wydają nędzarzy fizycznych i umysłowych, strawionych „przyjemnościami“, a zohydzone przez pozytywizm chwile wojenne wytwarzają mężów, dzielnych ciałem i duszą.

Każda rzecz ma dwie strony. I teoria rozwoju nie wytrzymuje ścisłej krytyki. Nie ulega wątpliwości, że należy ona do bardzo cennych wynalazków, tak samo jak hipoteza o powstawaniu gatunków, że można za jej pomocą wytłumaczyć mnóstwo nieznanych dotąd szczegółów, że jest poprostu dobrą pomocniczką nauki, lecz żeby miała być nieomyślnem, powszechnem prawem dla całej przyrody nieorganicznej, tego dotąd nie udowodniono. Wadliwość jej przejawia się głównie we wszystkich umiejętnościach, odnoszących się wyłącznie do człowieka. Duchowa bowiem część nasza rozwija się na innych warunkach i do innego też, jak reszta stworzenia, dążymy celu. Spencer nie uznaje oczywiście tej prawdy, lecz dlatego właśnie wymyślił miksturę, której nie można przełknąć. Wielka to lekko-myślność oprzeć tak ważną, tak praktycznie doniosłą naukę, jak etyka, na teorii, której oczywistości nie wykazano jeszcze z dokładnością matematyczną. Przyrodnik, chemik, fizyolog mo-

gą bawić się w różne doświadczenia, lecz moralista nie powinien zapominać, że jego eksperymenty mogą zwichnąć miliony ludzi. Nowość bawi i olśniewa, a iluż przeciętnych „pozytywistów“ umie czytać krytycznie?

Niezmiernie szeroki zakres postępowania ogarnia etyka Spencera, bo cały ogół „łącznych czynności zewnętrznych“! Dawniejsi, „zacofani“ moralisci zastanawiali się nad wewnętrznymi, duchowymi procesami, kładąc główny przycisk na objawy woli, lecz właśnie tę część, która stanowi rzeczywisty przedmiot nauki moralności, pomija filozof angielski z pogardą człowieka, wierzącego tylko w fizylogię.

Trojakię rozróżniano dotąd dobro: (*bonum utile*), sprawiające przyjemność (*delectabile*) i moralne (*honestum*), które samo przez się odpowiada naturze człowieka, jako istoty rozumnej: dla Spencera istnieją jedynie dwa pierwsze dobra. Nie rozumie on, raczej nie chce uznać, że nie prosta użyteczność robi postępek moralnym w znaczeniu etyki, lecz odpowiedniość jego, zastosowana do przeznaczenia człowieka na ziemi. Wyrzuca on z etyki „zwietrzałe“ dobro moralne, bo wytyka dla ludzkości nowy pozornie cel. Żyjemy na to, twierdzi, aby sprowadzić jak największą pełnię życia dla siebie, dla potomstwa, dla bliźnich w końcu i aby się wykształcić na artystów przyjemności. Moralnym przeto jest każdy, kto umie się tak urządzić, że zaspokaja swoje potrzeby i zachcianki, a nie naraża się innym. Wynika z tego, że ideałami moralności byłiby wszyscy ludzie zręczni, przebiegli, sprytni, wszyscy mistrzowie w sztuce lawirowania i używania, a niemoralnemi natury proste, szlachetne, zapalne i bohaterskie. Wojownik, męczennik, ofiar-

nik, człowiek, umierający przed czasem dla jakiejś szerszej sprawy, nie zasługują według Spencera na tytuł moralnych, gdyż nie pamiętają o utrzymaniu i pomnażaniu własnego życia. Szaleńcy to, ludzie zwaryowani, nie mający wyobrażenia o zasadach etyki „niezawisłej“.

Do tak filisterskiego określenia dobra musiał dojść myśliciel, który zepchnął człowieka ze stanowiska, zajmowanego przez niego od początku cywilizacji. W nauce, która nazywa jedynym zadaniem ludzkości mechaniczne przystosowywanie się, dokonywane samo przez się, nie może być oczywiście mowy o wyższych celach i o szlachetnym pojmowaniu obowiązku. Wszelkie porywy niesamolubne, wszelkie zachwyty, zapały, ofiary i poświęcenia muszą się wydać zwolennikowi spencerowskiej teorii rozwoju prostymi zбочeniami umysłu, a niezewnętrzne i niełączące czynności dziełami niemądrego.

Chwieje się też Spencer i ślania, ilekroć przekracza miedzę fizjologii, a wchodzi do podziemi wewnętrznych pobudek postępków etycznych. Obowiązek np., który nazywa „samodozorem“, „powagą nakazującą“, „pierwiastkiem przymusu“ itd. tłumaczy w sposób następujący: Duch i wola człowieka powstały z prostych pobudek i poruszeń drogą składania i kombinacji. Później rozwinięte formy tego procesu (uczucia wyższe) są oczywiście więcej złożone, ogólniejsze i posiadają wyższą powagę, jako przewodniki, odczuć niższych i wcześniej powstałych. Już niższe jestestwa rządzą się w ten sposób całym „splotem uczuć“, które tej są natury, że ogólna pomyślność zależy od pewnego poddania niższych uczuć wyższym. Do tego zaś podporządkowywania czyli, panowania nad sobą dochodzą

one przez własne lub odziedziczone doświadczenie. Tak samo dzieje się i z ludźmi, w których wyrabia się z czasem tyle siły umysłowej, ile potrzeba na wyprowadzenie wniosku z tych doświadczeń, a potem na skupienie wniosków jednostkowych w zasady powszechne i tradycyjne, któremi przejmuje się każde wzrastające pokolenie. Z sądów tych, zaczerpniętych z doświadczenia o pożyteczności poddawania jednych uczuć drugim, wykwitła w dalszym ciągu świadomość obowiązku i przymusu przez... pewien rodzaj niedokładnego kojarzenia pojęć.

Trudno by uwierzyć, że pozytywista, który powinien przede wszystkim jasno dowodzić i opierać samymi „dokumentami“ umie się tak... fantastycznie wyrażać, gdyby się nie miało książki przed oczami. Więc obowiązek powstał przez... pewien rodzaj niedokładnego kojarzenia pojęć? Szczególnych argumentów używa „wielki Spencer“, gdy mu wszechmądra fizjologia odmawia posłuszeństwa. Ma się rozumieć, że taki „mechaniczny“ obowiązek musi utracić swą moc, gdy przestanie być potrzebnym. Spencer twierdzi też rzeczywiście, że uczucie obowiązku jest przechodniem i zmniejsza się w stosunku do umoralnienia, czyli. co według etyki „niezawisłej“ na jedno wychodzi, w miarę rozwijającego się procesu przystosowywania. Przyjdzie nawet kiedyś czas, mniema arcykapłan pozytywizmu, w którym obowiązek przestanie być regulatorem czynności ludzkich, w którym śmiertelnicy będą używali bez pracy i bez starań wymarzonej „przyjemności“, gdyż staną się tak doskonale nastawionymi maszynkami, że, choćby chcieli, nie potrafią zrobić nic takiego, coby szkodziło

utrzymaniu i pomnażaniu życia. A będzie to epoka przemysłowa, przemysłowa.

Aby nadszedł przepowiadany przez Spencera stan, powinni się wszyscy ludzie: rodzic, wychowywać, kształcić, rozwijać i umierać w tych samych warunkach. Nie powinno być silnych i słabowitych, zdrowych i chorych, mądrych i głupich, przeciętnych i utalentowanych, bogatych i ubogich, nie powinno być żadnych różnic, odmian i przewrotów. Straszliwa, bezbarwna jednorodność musi zapanować w rodzie ludzkim, aby się spełniło proroctwo myśliciela angielskiego. Wszelkie szlachetne porywy, gorętsze uczucia, dalekie cele, słowem, wszystko, co oddziela człowieka od zwierzęcia, musi zniknąć, zgasnąć, ulotnić się. Epoka „indystryjna“ zaludni kulę ziemską filistrami, którzy będą tuczyli siebie, dzieci swe i sąsiadów, aby byli dla nich „pomocniczem uchem i okiem“ i aby im sprawiali swym dobrym wyglądem przyjemność. Bo nie za darmo, woła Spencer. Pragnę szczęścia bliźniego, lecz tylko dlatego, że mi ono potrzebne do moich celów. Pożarłbym cię, aby pomnożyć moje i moich dzieci życie, gdybym wiedział, że mi się za to nie stanie, ponieważ jednak mógłbym za cudzą krzywdę sam oberwać, przeto wolę być twoim przyjacielem i urządzić się tak, aby z przyjemności jednostki, o którą muszę się ocierać, i dla mnie coś kapnęło.

Jakie to... rozumne! Gdyby zwierzęta umiały czytać, postawiłyby Spencerowi niezawodnie pomnik. Ale ludzie mają prawo zapytać: jakim prawem ściągasz nas z wyżyn, na które wspięliśmy się po tylu wiekowych wysiłkach tytanicznych za pomocą przyrodzonych, wszczepionych w nas zdolności? Dokąd doszłoby społec-

czeństwo, któreby przejęło się na prawdę zasadami etyki „niezawistej“? Cała cywilizacja pracowała nad ustaleniem poczucia: obowiązku, uczciwości, sprawiedliwości, honoru w końcu, a wszystko to ma zniknąć dlatego, że się Spencerowi zachciało traktować moralność, jak nauki przyrodnicze i uznać tylko siły mechaniczne i chemiczne.

„Dane Etyki“ Spencera można nazwać próbą zastosowania doktryny rozwoju do moralności. W swej części praktycznej są one połączeniem utylitaryzmu z epikureizmem.

Pomijając brutalną niemoralność i nieszlachetność tej moralności, grzeszy ona jako dzieło uczonego wogóle rozwlekłością i sztucznem naciąganiem argumentów do celu z góry wytkniętego. „Zasady Etyki“ robią wśród czytanią wrażenie, jak gdyby Spencer sam siebie przekonywał, gdyż nawet jemu wydaje się jego moralność sztuczną. Dowodzi on jak sofista, któremu postawiono jakieś zadanie, a nie będąc pewnym siebie, wraca po kilka razy do tego samego przedmiotu, gromadząc olbrzymi zapas faktów.

Eksperyment Spencera podjął cały szereg niezawistych uczonych moralistów, którzy nawarzyli takiego piwa, że go w końcu nikt przełknąć nie mógł.

Wszyscy moralisci pozytywni, oparli się na egoizmie, ale mniej skrajni starali się pogodzić „przesady“ zgasłych pokoleń z „niezawistością“ podczas kiedy śmielsi odrzucili bez ogródki maskę sztucznego altruizmu.

Po czyjej stronie racya?

Darwin mniemał, że teoria ewolucyi nie wyklucza Boga; Renan majaczył o jakimś Panu

wszechświata, bujającym w nieskończoności; Comte Littré i in. milczeli znacząco, gdy zbliżali się do tajemnicy tajemnic: Spencer bąkał niewyraźnie o „niepoznawalnej”, Klaudyusz Bernard gniewał się na nieprzyjemne „*le pourquoi des choses*”; materyaliści niemieccy przeczą wprost.

Któryż z tych mędrców powiedział prawdę?

Dodawszy do pozytywistów i ewolucjonistów jeszcze spirytualistów francuskich (Ravaisson, Franck, Janet, Caro, Jules Simon i in.) i pesymistów niemieckich (Schopenhauer, Hartmann), posiadamy obecnie dwadzieścia kilka różnych moralności.

Kogoż należy słuchać, aby być — wyrażając się po staroświecku — człowiekiem dobrym i uczciwym, albo, posługując się modnym żargonem — dostosować się do potrzeb rozwoju?

Zamiast jednego kodeksu moralnego, wyrętego w sercu człowieka od pierwszej chwili jego istnienia, a rozwiniętego przez wysiłki i tęsknoty całej ludzkości cywilizowanej, obmyślili uczeni niezawisli aż dwadzieścia kilka etyk, z których żadna nie przekonywa.

Ernest Renan, żongler filozoficzny XIX stulecia, zawołał w chwili zapomnienia, w mowie, wygłoszonej w Akademii francuskiej dnia 4-go sierpnia 1881 roku:

— Mówicie o źródle cnoty? Ależ panowie, nikt z nas o niem nic nie wie, albo raczej wiemy wszyscy tylko to, że każdy z nas odnajduje we własnem sercu. Pomiędzy dwudziestoma teoryjami o obowiązku, nie wytrzymuje ani jedna krytyki. Istota cnoty polega na tem, że człowiek cnotliwy nie zdaje sobie sprawy, dlaczego dobrze postępuje. Bohater, zastanowiwszy się po

dokonanym czynie, przyszedłby bezwątpienia do przekonania, że działał jak nierozważny głupiec. A właśnie dlatego, że w danej chwili nie medytował, jest bohaterem. Uległ wyższemu rozkazowi, nieomyślnej wyroczni, słowem, głosowi, który nakazuje, nie tłumacząc się przed nikim z tego, co postanawia.

Stary cynik, zapomniawszy na chwilę, że jest „niezależnym mędrce“, wskazał właściwe źródło ctyki.











# TOWARZYSTWO im. PIOTRA SKARGI

(Lwów, ul. Teatralna I. 3)

## wydalo następujące prace :

1. Piotr Skarga.
2. „Czerwone Prawdy“.
3. Grunwald.
4. Częstochowa.
5. Zarys najnowszej literatury pol. (Cz. I. R. I.).
6. Moralność naukowa.
7. Największy wróg ludzkości.
8. Z górnych dni.

## Pod prasą:

9. Zarys najnowszej liter. pol. (Cz. I. R. II. III.).
10. Młoda Polska.
11. Zgniła literatura.
12. Królowa opinia.
13. Naczelnik w sukmanie.
14. O pracy społecznej na wsi.
15. Dlaczego Chrystus ma wrogów.
16. Miliony z dymem.
17. Do jakich Towarzystw mamy należeć.

